

Dariusz Korpala (Rodziny katyńskie, Poznań)

– Transkrypcja wywiadu przeprowadzonego dla Biblioteki Raczyńskich w ramach cyklu: "Historia Mówiona". Rozmawiał Piotr Bojarski.

Piotr Bojarski: Panie Dariuszu, proszę na początek opowiedzieć o swoich rodzicach. Skąd się wywodzą, jak się poznali?

Dariusz Korpala: Na początku chciałem w ogóle zaznaczyć, że nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby się wypowiadać. Załatwiałem wszystko zawsze krótko, po inżyniersku. Tak że proszę mi wybaczyć. Jeżeli chodzi o mamę, to urodziła się w Sasowie, czyli w zaborze austriackim. Sasów, to jest taka piękna miejscowość położona w powiecie złoczowskim, w województwie tarnopolskim. Ojcem był Franciszek Wagner, który był mistrzem w zakładach papierniczych w Sasowie. Bo trzeba tutaj jeszcze dodać, że właśnie w Sasowie były jedyne w całym okręgu wschodnim zakłady papiernicze. A poza tym Sasów słynął z tzw. Tałesa. Tałes – to jest, jak prawdopodobnie wszyscy wiedzą, modlitewny pas żydowski. A ponieważ ilość w żydów w Polsce w owym czasie była duża, więc zapotrzebowanie też było duże i z tego tytułu Sasów słynął. **(01:42)**

Mama była najmłodszą córką Franciszka, a najstarszy syn, był starszy od mamy o prawie 30 lat. Miała jeszcze dwóch braci i siostrę. Może na tym zdjęciu się uda uchwycić całą tę rodzinę **[podnosi i pokazuje do kamery zdjęcie rodzinne w albumie]** To jest w zasadzie rodzina dziadków mojej mamy – Furgalskich. Tak się złożyło, że mój dziadek ożenił się z Furgalską, która pochodziła z bardzo bogatego domu, ale ponieważ był bardzo honorowy, uparł się, że ani grosza od swoich teściów nie weźmie. I że żona nie będzie absolutnie czerpała korzyści z tego, że jest córką kogoś bogatego. Bo Bazyli Furgalski był właścicielem złóż naftowych i po prostu był bogaty. Moja mama zawsze wspominała – o swojej mamie, że narzekała, że ona to może pojechać do Truskawca na wakacje, a jej siostry to jadą do Karlowych Warów. **[uśmiecha się]** Gdzieś w latach 20-tych mama przeniosła się do Bydgoszczy, bo tam wybudował gimnazjum mój wujek, brat mojej mamy. Tutaj pod spodem **[wskazuje na stół i leżące na nim papiery]** jest właśnie jego dyplom ukończenia Uniwersytetu Lwowskiego na wydziale filozofii. Tak że zdobył doktorat filozofii i po zamieszkaniu w Bydgoszczy wybudował tam gimnazjum - ogromny budynek, i prowadził to gimnazjum. Był jak gdyby dyrektorem. Właścicielem i dyrektorem. I tam mama u niego zamieszkała. I może na razie tyle o mamie, teraz może o ojcu. **(03:51)**

Bo właśnie w tej Bydgoszczy się spotkali. Mój ojciec urodził się w Wielkopolsce, w Koninku, w powiecie wągrowieckim. I tutaj może też pokażę **[sięga po duże zdjęcie rodzinne leżące na stole]** całą rodzinę mojego ojca. Miał jeszcze trzech braci i trzy siostry. **[pokazuje zdjęcie przed kamerą]**

PB: Ojciec to jest który?

DK: Siedzi po prawej. Oprócz ojca i matki tylko on siedzi. [wskazuje palcem] Miał jeszcze starszego o rok brata, a sam był drugim w kolejności. Starszy brat urodził się w 1899 roku, a mój ojciec urodził się w zerowym roku. To jest akurat zdjęcie z 1917 roku, i dosłownie chwilę później został wcielony do wojska. Jego kariera zaczęła się w Poczdamie, gdzie dostał się do ułanów. I jak się kończyła wojna i wybuchło Powstanie Wielkopolskie, to ojciec chciał do tego powstania dołączyć, ale był internowany. Uciekł z tego internowania, ale go złapali i ponownie był internowany. Tak że wrócił do Wielkopolski już po Powstaniu, i od razu się zgłosił do wojska. I był przeszkolony – to jest właśnie tu opisane, dostał się do szkoły wojskowej w Krakowie, i potem stopniowo awansował. Pracował przez pewien czas w Bydgoszczy, a ponieważ moja mama w tym czasie akurat też była w Bydgoszczy, to tam się spotkali. Były takie czasy, że ludzie się cieszyli z tej odzyskanej wolności, więc były zabawy. I na takim balu ojciec poznał mamę. Wg mamy dość długo trwało to poznawanie się, ale w końcu, w roku 1929, wzięli ślub na Jasnej Górze. (06:28)

PB: A dlaczego na Jasnej Górze? Był jakiś oficjalny powód, czy słabość mamy..?

DK: No Jasna Góra każdego ciągnie, ja bym też chciał mieć na Jasnej Górze, tylko że nie było warunków. A oni akurat mieli te warunki, że sobie mogli pojechać i tam wziąć ślub. Świadkiem był właśnie ten starszy o rok brat, też oficer Wojska Polskiego. A świadkiem ze strony mamy był jej brat, o którym wspominałem, doktor filozofii, który wybudował to gimnazjum w Bydgoszczy. No i potem zaczęła się budowa domu.

PB: W Poznaniu.

DK: Nie w Poznaniu. Tam gdzie mieli zamieszkać. Ponieważ poznali się w Bydgoszczy i w tym czasie wzięli ślub, ale potem ojciec został przeniesiony do DOK [Dowództwo Okręgu Korpusu] ósmego w Toruniu. I ponieważ był w Toruniu, to wybudowali sobie dom w Toruniu. Ojciec tego dopilnował. Tak że, gdzieś w 34' roku, już wprowadzili się do nowego domu. Moja mama po ślubie przerwała pracę, bo – będąc u swojego brata, oczywiście nie była na jego garnuszkach, tylko podjęła pracę w Banku Gospodarstwa Krajowego. Mama miała w ogóle poczucie humoru, mogę opowiedzieć historyjkę, którą ona opowiadała, że pracując właśnie w tym banku, musiała iść do dyrektora zgłosić klienta, który przyszedł, a z którym nie mogła sobie poradzić, i musiała się poradzić dyrektora, co z nim zrobić. No i strasznie przeżyła ten moment, bo ten klient nazywał się nie inaczej, a Pierdzioch... A jeszcze na dodatek mieszkał w Swornych Gaciach. To jest miejscowość pod Bydgoszczą, i nazywa się tak do tej pory zresztą. I opowiadała, że zaczerwieniona musiała relacjonować, że przyjechał pan Pierdzioch ze Swornych Gaci, czy może pan go przyjąć? Można sobie wyobrazić, jakie to było przeżycie dla niej. (09:26)

W każdym razie, po ślubie, dostała odprawę, bardzo ładną, przydało się do budowy tego domu w dużej mierze. I byli szczęśliwi i zadowoleni do czasu, aż przyszedł rok 39'. W tym 39' roku, wszyscy spodziewali się, że coś się stanie, do końca nie było pewne, ale szykowali się. Mam dokumenty takie, które są z tamtych lat, opisujące jak należy się zachować, co

należy zrobić, w co się zaopatrzyć przed wojną, która miała zresztą wtedy trwać bardzo krótko.

PB: A rodzice jakieś przygotowania podjęli?

DK: No tak, oczywiście że tak. Oczywiście, że przygotowania były podjęte. Mama miała spis rzeczy, które musi zgromadzić na ten moment. Ale w ogóle ustalili z ojcem, że oczywiście nie zostanie w Toruniu, bo Toruń był miastem bardzo niebezpiecznym, było wiadomo, że tam Niemcy z Polakami nie będą się patyczkować. Tak się zresztą okazało później. I mama wynajęła wóz konny, z woźnicą. Ponieważ ja urodziłem się w 38' roku, i w opiece nade mną pomagała mamie siostra mojego ojca, to razem ze mną, siostrą i woźnicą, tym wozem konnym, już z końcem sierpnia ruszyli do Sasowa. [uśmiecha się] Ja sobie tego dzisiaj w ogóle nie potrafię wyobrazić. Bo Toruń dzieli od Sasowa prawie 700 km. 700 km wozem konnym. **(11:50)**

Jeszcze nie było wiadomo, jak ta wojna będzie przebiegała. A wiemy, że ta wojna przebiegała w sposób okrutny. Niemcy ostrzeliwali wszystkie drogi. Gdziekolwiek ludzie się poruszali po drogach, to były ataki na tę ludność. Ale jakoś udało się mamie bez większych przeszkód dotrzeć za Lublin. Gdzieś tak w połowie drogi z Lublina do Lwowa udało się im dotrzeć, kiedy na tym terenie pojawiło się wojsko rosyjskie. W tym momencie mama podjęła szybką decyzję, taką inżynierską [mówi ze śmiechem] – powiedziała – W tył zwrot i z powrotem. I tym wozem jechali z powrotem, uciekając przed Rosjanami. I pierwsza przygoda była na jednym z pierwszych skrzyżowań, gdzie stał już patrol rosyjski i usłyszała - Nielzja! Nie wolno dalej jechać, z powrotem! I mama wtedy wpadła na taki genialny pomysł, żeby wytłumaczyć, że ona właśnie jedzie z powrotem, bo jej kazali. A mieszka w domu, który tam na horyzoncie widać. Oni popatrzyli i rzeczywiście jakaś chałupa tam stała, no to puścili mamę. I takim sposobem w końcu dotarliśmy do Lublina. Ja mówię dotarliśmy, chociaż wtedy nie miałem żadnej tego świadomości. [mówi ze śmiechem] **(13:50)**

PB: Właśnie, pan był malutkim dzieckiem, niemowlęciem właściwie.

DK: No tak. Miałem roczek. Urodziłem się 22 września, czyli zbliżał się dokładnie mój roczek.

PB: Mama pana trzymała na rękach, czy jak?

DK: Tego nie wiem. Właśnie najbardziej żałuję tego, całą tę historię mama wspominała wielokrotnie, a ja nigdy nie zadawałem żadnych pytań, jakby mnie to nie interesowało w jaki sposób tym wozem konnym żeśmy jechali. Tego nie wiem. Ale z opowiadań późniejszych wiem, dlatego, że w tym Lublinie spotkaliśmy rodzinę. To był mój wujek, niektórzy mówią stryj, ale u mnie w rodzinie zawsze się mówiło – wujek. Czy to bracia mamy, czy ojca, to byli wujkowie. I dlatego już przy tym pozostanę. I tam właśnie spotkaliśmy wujka, o którym warto też coś powiedzieć. To jest ten Czesław Młotek, który pod koniec września 39' roku, samochodem jechał do Sasowa, bo też myślał, że znajdzie

tam jakiś azyl. I tam spotkał mojego ojca, bo się okazało, że ojciec wstąpił do Sasowa, by przygotować grunt dla mamy, jak przyjedzie. I jak zobaczył Rosjan, to zawrócił z powrotem na zachód. Też uciekał pod tą opiekę niemiecką. [mówi z krzywym uśmiechem] W każdym razie Polacy woleli być po stronie niemieckiej, niż po stronie Rosyjskiej. (15:50)

Wuj jechał z rodziną – z żoną i z trojgiem dzieci. Ale po drodze też został zatrzymany, i zarekwirowano mu ten samochód.

PB: A kto go zatrzymał, Rosjanie?

DK: Rosjanie. No ale ponieważ to był wujek Czechu, [mówi z uśmiechem] którego zdążyłem potem poznać i znałem jego charakter, to on nie dał się tak łatwo. Powiedział, że jest proletariuszem, i nie będą go tutaj szykanowali proletariusze. On chce rozmawiać z komandirem. No to mu powiedzieli, że w sąsiednim miasteczku jest ta komenda. I – jak opowiadał jego syn, który jest 10 lat ode mnie starszy, poszedł tam i w siedzibie komendy rosyjskiej, wszedł par force [na siłę] do środka, z krzykiem, że krzywda mu się dzieje, że jest proletariuszem, a tutaj został tak potraktowany. Okazało się, że to poskutkowało. Że prawdopodobnie [mówi z uśmiechem] Rosjanie nie byli przygotowani, że się na nich krzyczy. Krzyczeć to mógł tylko dowódca, nikt więcej. Jak ktoś krzychał, to widocznie miał do tego prawo. I tak się ten komendant tym przejął, że nie tylko dał glejt wujkowi, że może jechać dalej, ale że jeszcze mają mu napełnić kanistry do pełna. No i wrócił z tym poleceniem i rzeczywiście tym samochodem dotarł do Lublina i tam się spotkał z moją mamą. A moja mama – jak wspominałem, jechała z najmłodszą siostrą mojego ojca, Seweryną, która pomagała mamie w opiece nade mną. Ale samochód jest lepszym środkiem komunikacji niż wóz konny i ta ciocia Serka przeniosła się do tego samochodu. Oczywiście dla mamy i dla mnie już nie było miejsca, bo samochód był pełen, ale ciocię przyjęli.

(18:30)

Wujek Czechu, był mężem innej siostry mojego ojca. No i moja mama została sama z tym wozem i z tym woźnicą w Lublinie i teraz miała przekroczyć tę granicę, bo też chciała przejść na drugą stronę i jechać do Radomia. Bo w Radomiu mieszkał brat mojego ojca, zresztą rodzina w tym samochodzie też jechała do Radomia. I jak to zrobić? To nie było tak łatwo, ale chyba jakaś opatrność pomogła mojej mamie, wypatrzyła sobie oficera rosyjskiego, co do którego uznała, że może zaufać. I mówiąc mu prawdę kim jest i co się dzieje, poprosiła go o pomoc. I tę pomoc uzyskała. Pomógł jej przekroczyć tę granicę. Mama to uważa za cud. Być może. W każdym razie w ten sposób dojechała do Radomia, do rodziny. Ale tam, u wujka Janka, który też jest na tym zdjęciu [wskazuje palcem zdjęcie rodzinne] no... dość dużo się już tej rodziny zebrało. Bo też i dziadkowie byli i jego rodzina, dzieci, synowie. No i teraz ci przyjechali jeszcze, Młotkowie z rodziną, tak że za bardzo miejsca dla mamy nie było. I mama wynajęła sobie mieszkanie w Radomiu, ale był kłopot z ogrzewaniem. A ponieważ zima w 39' roku była bardzo surowa, to ja się rozchorowałem. I z opowiadań mamy wynika, że to dziecko, które skończyło roczek, było już prawie umierające, i na nogi postawił mnie podobno jakiś weterynarz. Jedyny osiągalny,

który w tym czasie był i który przy pomocy zastrzyków, które prawdopodobnie normalnie robi zwierzętom, uratował mi życie. **(21:04)**

Wówczas w Radomiu, okazało się, że był jakiś prowizoryczny obóz jeniecki dla oficerów polskich. Jak się mama o tym dowiedziała, od razu do tego obozu poszła. Szukać męża, może akurat jest. No i szukając Alojzego Korpala, znalazła Antoniego Korpala. Właśnie tego brata, o rok starszego, który w tym obozie był. I udało się tak załatwić, żeby uzyskać przepustkę dla niego. Bo mama się z nim zobaczyła i postarała się o przepustkę. Ale warunkiem tej przepustki było to, że musi dać słowo oficera, że wróci. No i wujek dał słowo oficera, że wróci do tego obozu. I jak przyszli z mamą do tej rodziny na Focha, bo mieszkali na Focha w Radomiu, to radość oczywiście wielka, że jest, że żyje. Ale – zwłaszcza wujek Czechu zaczął go namawiać, żeby zrzucił mundur, jakieś lewe papiery i żeby się ukrył. Bo przecież jest wojna. A wujek powiedział – Niestety, nie mogę. Skoro dałem słowo oficera polskiego, że wrócę, to muszę wrócić. I wrócił. Dalsza historia wujka była taka, że przeżył ten obóz jeniecki, potem był wywieziony do obozu w Niemczech, i po wojnie wrócił do Polski. **(23:20)**

A mój ojciec dostał się do niewoli sowieckiej.

PB: No właśnie chciałem zapytać, bo mama szukała taty i jechała do tego Sasowa. A co się działo z tatą? Bo pan był za mały, by pamiętać rozstanie z tatą.

DK: No to ja już wspominałem, że tata był w Sasowie, bo spotkał się z tą rodziną wujka Czecha.

PB: Ale co działo się między wybuchem wojny, a tym Sasowem? Gdzie on był? Co on robił w tym czasie?

DK: Między wybuchem wojny a Sasowem, mój ojciec był w intendencji, organizował zaopatrzenie wojska. I dlatego krążył. Miał do dyspozycji samochód, i tym samochodem się poruszał. I z opowiadania kierowcy mojego ojca wynika, że zostali zatrzymani przez Sowietów, no i... aresztowany.

PB: Wiadomo gdzie to się stało?

DK: Niestety nie jestem w stanie tego określić.

PB: Ale to już po Sasowie?

DK: Tak, oczywiście, bo w Sasowie był człowiekiem wolnym. A Sowieci już wkroczyli na te tereny. Bo to był też powód, dla którego wujek Młotek zaczął podróż w odwrotną stronę. Tak że trudno mi odpowiedzieć na to pytanie co dalej robił ojciec, bo nie mam takich informacji. W każdym razie wiadomo od tego kierowcy, który przeżył, że został aresztowany. A ten kierowca był też aresztowany, ale potem był zwolniony. Bo Rosjanie zwykłych szeregowców zwalniali. **(25:34)**

PB: A co mama wiedziała będąc w Radomiu o losach taty? Nic czy cokolwiek?

DK: Nic nie wiedziała. Nic, bo mama miała tylko dotrzeć do Sasowa, ale nie dotarła, ponieważ musiała się wycofać, i cały czas miała nadzieję, że ojciec gdzieś żyje, a może nawet przekroczył granicę Rumunii. Tego też nie wiedziała. Mówiło się wtedy, że wielu oficerów przekroczyło tę granicę Rumunii, i było internowanych w Rumunii na zupełnie innych warunkach niż w Rosji.

PB: Czy w 39 roku, albo zimą 40' roku przyszedł jakiś list od ojca? Jakiś ślad istnienia?

DK: Tak, właśnie miałem przygotować ten list, ale niestety też utknął gdzieś.

PB: To proszę coś opowiedzieć o tym liście. Kiedy przyszedł? Co tam w nim było?

DK: To był list wysłany z Kozielska, stąd wiemy, że ojciec tam był. W tym liście ojciec napisał, żeby mu paczki nie przysyłać żadnej, tyle pamiętam. I żeby tak pisać list, żeby list doszedł. Czyli wiadomo było o co chodzi. Pytał się o swojego synka, czy wszystko jest w porządku, no i pozdrowiał.

PB: A list był datowany jakoś? Wiadomo kiedy był napisany?

DK: Tak, był pisany w listopadzie 39' roku.

PB: Mama się pewnie ucieszyła, że jest jakiś ślad?

DK: Nie, mama nic nie wiedziała o tym liście.

PB: A to do kogo doszedł ten list?

DK: Do Torunia, gdzie mamy nie było. Mama tam wróciła dopiero w 45' roku. Tak że to jest już bardzo odległa sprawa, kiedy dostała ten list.

PB: Czyli tak naprawdę ten list trafił w próżnię, czy do dalszej rodziny.

DK: Nie, trafił do sąsiadów. Po prostu dostał się w obce ręce i przez całą wojnę przeleżał. I po wojnie, dopiero w roku 45', jak mama wróciła do Torunia, to od sąsiadów ten list dostała. Tak że nie miała mama żadnej informacji. Poza tą, którą Głosie Krakowskim.. odczytała. **(28:16)**

PB: No właśnie, czy do tego momentu, do 43' roku, mama z panem była w Radomiu?

DK: No w Radomiu, tak jak mówiłem, sytuacja była trudna, dlatego, że za bardzo nie było miejsca u brata mojego ojca, mama wynajęła mieszkanie, ale warunki były też nie najlepsze. Ale mama miała brata swojego w Głogowie małopolskim. I postanowiła na wiosnę 40' roku, pojechać do brata do Głogowa. Brat tam zamieszkał akurat przed rozpoczęciem wojny. I tam pojechaliśmy. Tak że mam zdjęcia z tego Głogowa jak byłem malutki. I tam jest historia o bracie mamy, którą warto choć trochę wspomnieć. Burmistrzem Głogowa, była osoba, która nie znała niemieckiego. I w momencie jak weszli Niemcy, to szukali kogoś z kim będą mieli porozumienie. A ponieważ mój wujek już był w tym czasie na emeryturze, a niemiecki znał perfektnie, to został przez nich wyznaczony na tak zwanego komisarycznego burmistrza Głogowa. Oczywiście pierwsza propozycja od razu,

ponieważ nazywał się Józef Wagner, była taka, żeby podpisał listę volksdeutscha. I wtedy wujek powiedział wyraźnie do Niemca, który mu to proponował:

- Proszę pana, pan w tej chwili wie z kim pan rozmawia. Jestem Wagner. Natomiast jak ja podpiszę tę listę, to nie będzie pan wiedział z kim pan rozmawia. Tak że może lepiej, że ja jej nie podpiszę.

W każdym razie przyjęli tę informację, zgodzili się i wujek całą okupację był burmistrzem w Głogowie. W tych annałach głogowskich, które teraz się pojawiają, wspomnieniach z okresu wojennego, to wujek jest tam bardzo honorowany. Nawet obecnie jego nagrobek został odnowiony przez mieszkańców Głogowa. **(30:12)**

PB: A to rzadka sytuacja wśród Niemców, żeby zostawili Polaka na stanowisku?

DK: No ale jak tak doskonale znał niemiecki? No i dzięki temu on mógł pomagać Polakom w Głogowie. Ale oczywiście **[mówi uśmiechając się]** sytuacja była dziwna. Akurat jak myśmy się znaleźli w 40' roku w Głogowie u wujka, to akurat była taka sytuacja, którą - jak mówię, już trochę wspominam, **[uśmiecha się]** bo już miałem dwa latka – jak partyzanci polscy, którzy nie wiedzieli kim jest Wagner, ponieważ on się świeżo wprowadził do Głogowa. I myśleli, że współpracuje z Niemcami. I jego dom w nocy został zaatakowany. I ja ten moment rzeczywiście pamiętam, jak leżę w łóżku w nocy, a nade mną pochyła się postać młodego mężczyzny, który coś do mnie mówi. Co on mówił, to tego nie pamiętam, ale potem mama mi powtórzyła tę całą historię. **(32:35)**

Jak oni wkroczyli do burmistrza, żeby zabrać co się da, to trafili na moją mamę. No i mama miała właśnie tę legitymację przy sobie i pokazała kim jest, wytłumaczyła kim jest jej brat, powiedziała, że ukrywa się tutaj z dzieckiem i oni zupełnie zmienili front. I to jego pochylnie się nade mną, to było tak, że on mówił do mnie, że „rośnij chłopcze na mężczyznę, na przyszłego obrońcę kraju. **[mówi uśmiechając się]** No i w ten sposób, wujek, dzięki obecności mamy uratował...

PB: To była ta legitymacja, która tutaj leży? Może pan ja pokazać do kamery?

DK: **[pokazuje legitymację]** To jest legitymacja, którą mama dostała w przeddzień wybuchu wojny.

PB: I tak wyglądała na początku wojny.

DK: Tak. I tam, w tym Głogowie byliśmy przez rok. Bo pamiętam, że całe wakacje tam byliśmy. Tam się zaprzyjaźniłem z takim psem, to był mój pierwszy pies. Lord, pies dużo większy ode mnie, mam go na zdjęciach. Ale mama nie chciała być na garnuszku u swojego brata i zorientowała się, że jest taki zakład przemysłowy, właśnie mam dokumenty tutaj **[rozgląda się po pokoju]** z tym związane. Może pokażę. **[podnosi się, ale słyszy „nie, nie, nie” ze strony operatora i siada z powrotem]** A... to potem.

PB: To później, tak.

DK: Dobrze. (34:30)

PB: A co to było? Gdzie był ten zakład?

DK: W Sędziszowie Małopolskim. Sędziszów jest blisko Głogowa. W każdym razie jest tam zakład, gdzie jest praca dla mamy. W związku z tym, pamiętam całą tę historię, gdzie jest przejazd nasz do Sędziszowa, też wozem konnym, [śmieje się] ale już ciągnionym nie przez konia, tylko przez krowę. No i pojechaliśmy do Sędziszowa, tam zamieszkaliśmy u państwa, którzy nazywali się Jasińscy. Zresztą do tej pory jeszcze tam mieszkają ich dzieci. I zaczęła się historia sędziszowska, która też jest bardzo ciekawa. Ja tam dorastałem, tam mnie wspominają do tej pory zresztą. Pamiętają, że był taki chłopiec, który nawet na czołgi wchodził w czasie wojny. [śmieje się] Mama tam się angażowała. To znaczy wiem, że jak była tam tworzona Armia Krajowa, to mama przyjmowała ślubowania od tych, którzy wstępowali. W tym Sędziszowie mieszkaliśmy od roku 40' do 45'. Cały okres przedszkolny. Tutaj zrobię taką dygresję, że Sędziszów od Kołaczyc - to też miejscowość na Podkarpaciu, leży w odległości mniej więcej 40 km. I w tym czasie moja obecna żona, i jedyna zresztą, mieszkała w Kołaczycach. [uśmiecha się] I tam przeżywała ten okres przedszkolny. Byliśmy od siebie oddaleni w czasie wojny o 40km. No ale w roku 1945, jak już było wiadomo, że ruszyła ofensywa styczniowa i Toruń już jest wolny, to mama wtedy załatwiła sobie transport i pociągiem jechaliśmy do Torunia. O Sędziszowie może jeszcze coś powiedzieć? (37:09)

PB: O tyle o ile jest to związane z historią ojca, bo czy to właśnie tam dowiedzieliście się o odkryciu katyńskim?

DK: Tak jest. Tam byliśmy w 1943 roku.

PB: Jak to było? Czy mama z prasy się dowiedziała?

DK: Przyszedł rok 43' i mama stale sądziła, że ojciec żyje i że na pewno wróci. Prawda? Że jak się tylko wojna skończy, to wróci. Przyszedł rok 43' i ukazała się informacja w Głosie Krakowskim o dokonanej mordzie w Katyniu. I tam wyszczególnione było nazwisko mojego ojca. No już nie było wątpliwości, że to jest on, bo skoro rzeczy, które miał przy sobie odpowiadały temu, co mógł mieć przy sobie, to wiadomo było, że to jest on. I prasa sędziszowska napisała, że była taka pani Eugenia Korpala, która spędziła okres okupacji w Sędziszowie, bo to dla nich ważne, że cały okres okupacji spędziliśmy w Sędziszowie, że jak się dowiedziała, o śmierci męża, to cały okres okupacji nosiła czarną opaskę. Uważają to za bohaterstwo, bo mogły być dopytywania – A dlaczego? A kto? A po co? I musiała by się wtedy tłumaczyć. No, ale tak to było. (39:02)

PB: A proszę powiedzieć, czy mama powiedziała panu co się stało? Pan miał wtedy 4 lata. Czy pan był świadomy co się stało?

DK: Ja właściwie od samego początku wiedziałem wszystko. Oczywiście w czasie wojny, na początku była nadzieja, że ojciec wróci, a potem już było wiadomo, że nie wróci.

PB: Czyli nie ukrywała tego?

DK: Nie, nie ukrywała przede mną tego. Tyle tylko, że było wiadomo, że nie można tego powtarzać. I to ciągnęło się bardzo długo, bo nie tylko ja, ale w mojej klasie była koleżanka, której ojciec też zginął w Katyniu i myśmy o sobie nic nie wiedzieli, potem to wyszło. Ale jeszcze mój syn, który chodził do szkoły już teraz, w latach 80-tych, to w jego klasie były 4 osoby, gdzie dziadkowie zginęli w Katyniu. I też o sobie nic nie wiedzieli. Miedzy innymi chodził do jednej klasy z córką pani Fęglerskiej. I stąd się wcześniej znaliśmy z panią Fęglerską.

PB: Proszę może teraz opowiedzieć, co było po zakończeniu wojny? Państwo wróciliście do Torunia, prawda?

DK: No więc właśnie. W ogóle ta jazda tam pociągiem była niesamowita, bo ja już... to był 45' rok, to ja już.. zresztą w Sędziszowie zacząłem chodzić do pierwszej klasy. Bo myśmy byli oswobodzeni w 44' roku, tak że we wrześniu 44' roku, normalnie poszedłem do szkoły. Tak że świadectwo z półroczną pierwszej klasy mam właśnie z Sędziszowa. **(41:09)**

Natomiast świadectwo ukończenia pierwszej klasy mam już z Torunia. Ruszyliśmy tam w styczniu czy w lutym. Było to dla mnie ogromne przeżycie, bo po raz pierwszy zobaczyłem miasto, gdzie szyny były na ulicach. To pamiętam, że akurat to **[mówi śmiejąc się]** najbardziej przeżywałem. Wiadomo, dziecko. Tramwajów jeszcze nie było, wszystkie w remontach, tylko te szyny w ulicach. Czuło się już, że za chwilę pojedą. I tam mama – no czym się mogła zająć? Mogła się zająć tylko handlem. Taką jedną rzecz pamiętam związaną z mamą z tego okresu, to że zostawiła mnie na dwa dni. Jednego dnia pojechała, drugiego dnia wieczorem wróciła. Zostawiła mnie samego, bo pojechała nad morze i wróciła z walizką pełną szprot. **[śmieje się]** No oczywiście te szproty poszły jak świeże bułeczki w Toruniu, no i były jakieś pieniądze. Nie wiem jak dalej sobie mama radziła, ale Toruń był dla niej bardzo przykry z tego względu, że spotykała znajomych, którzy bardzo jej współczuli – No pani taka biedna, sama pani została! No a poza tym wszystko jej przypominało ojca. I postanowiła z tego Torunia uciekać. Mimo, że jak wróciliśmy, to udało nam się odzyskać mieszkanie, w którym mieszkaliśmy przed wojną. Nie tylko samo mieszkanie, ale jeszcze meble mama odzyskała. Przez sąsiadów dowiedziała się, kto i gdzie powynosił te meble, i wszystkie meble wróciły do naszego mieszkania. No i takie piękne, umeblowane mieszkanie w Toruniu mama zostawiła. I pojechała na ziemię odzyskaną. Była informacja, że jest praca w Zakładach Papierniczych w Jeleniej Górze i tam mama się zatrudniła. **(43:30)**

PB: Jeżeli wolno wejść w słowo – w tym Toruniu, kiedy wszyscy mamie współczuli, że została sama, to też była taka tajemnica poliszynela co się stało z jej mężem?

DK: Nie, to nie. Wszyscy już wiedzieli. To nie było tajemnicą.

PB: Wiadomo było, że w Katyniu.

DK: Tak, mama tego nie ukrywała.

PB: Czy jakoś to komentowano wokół mamy, czy ludzie bali się o tym mówić?

DK: Nie mogę nic na ten temat powiedzieć, bo nie wiem.

PB: Rozumiem. A w Jeleniej Górze?

DK: A w Jeleniej Górze to już było ukrywane. Zdecydowanie już było ukrywane. W Toruniu to ni mogło być ukrywane z tego względu, że wszyscy wiedzieli, że jest żoną oficera. Natomiast jak pojechała do Jeleniej Góry, to już nikt nie musiał tego wiedzieć.

PB: Czyli jakby zaczynała nową kartę życia zupełnie, prawda? A proszę mi powiedzieć, bo to jest kwestia, która się zawsze powtarza w życiorysach katyńskich – jak chodziło już o oficjalne dokumenty w przypadku pana mamy, czy pana potem życiorys, to co pisaliście w przypadku ojca? Jak pan np. w szkole pisał.

DK: Są dokumenty, jestem w ich posiadaniu, że pisało się, że zmarł w czasie wojny i nic więcej.

PB: Pan się nie dzielił z kolegami tą wiedzą?

DK: Nie, nie, nie...No bo to.. tak jak mówiłem, była nawet koleżanka i myśmy nie wiedzieli.

PB: Mama uczulała na te sprawy, żeby nie mówić?

DK: To już byłem na tyle dorosły, że wiedziałem, ale pan ma na myśli wczesny okres jeleniogórski, a ja już zacząłem gimnazjum, prawda? Wczesny okres jeleniogórski, był taki, że ja nie znalazłem się w Jeleniej Górze. Mama sama pojechała. A ja do drugiej klasy pojechałem do Radomia, do wujka Janka. Tam zostałem przyjęty, tam mieszkali moi dziadkowie. Już nie było nikogo poza jednym synem wujka Janka, bo drugi już był na studiach w Warszawie. Tak że tam, u nich, znalazłem swoje miejsce, i tam skończyłem drugą klasę. W Radomiu. No niestety – sierota, bez ojca, bez matki. No ale miałem rodzinę.

(46:05)

Mama bardzo tęskniła za mną i koniecznie chciała widzieć mnie w Jeleniej Górze. I w związku z tym, do 3 klasy chodziłem w Jeleniej Górze. Mieszkaliśmy w takim mieszkanku na ul. Matejki, mama pracowała, ja sprowadzałem psy do domu, [uśmiecha się] bo kochałem psy, a psy kochały mnie. I tam, ponieważ mama wracała późno, to wiadomo, że działało tzw RTPD. Czyli Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. I to RTPD się mną opiekowało. Chodziłem tam, miałem zapewnione obiady i mogłem odrabiać lekcje. Ale mama się zorientowała, że to jest indoktrynacja. Że jestem tam indoktrynowany, wychowywany w duchu stalinowskim.

PB: A jakiś konkretny przykład? W jaki sposób to się działo? Coś panu wpajali?

DK: To było przekonanie mojej mamy, ja nie odczuwałem, że mnie ktoś indoktrynuje. Bo ja swoje wiedziałem i pewnie bym wiedział, ale mama była niespokojna. Bardzo się tym przejęła. No oczywiście gdzieś w tym czasie to wyszło na jaw, że mój ojciec zginął w Katyniu. Więc tym bardziej pracowano nad tym, by mnie przekonać o tym, że to Niemcy zrobili a nie Rosjanie. No i mama zdecydowała się, żeby znowu poprosić tę rodzinę w Radomiu, żeby mnie przyjęli do 4 klasy w Radomiu. Tak że, po tym pobycie w Jeleniej Górze, wróciłem do Radomia, z tym że poszedłem już do innej szkoły, a nie do tej samej, do której chodziłem rok wcześniej. **(48:10)**

PB: Zakręcone miał pan to życie.

DK: No tak to wygląda. I te świadectwa szkolne o tym świadczą. I po tej 4 klasie, żeby nie obciążać rodziny, chociaż wydaje mi się, że dla nich to nie było wielkie obciążenie, bo ciocia Klarcia, żona mojego wujka, bardzo mnie lubiła. Ona miała już dwóch starszych synów. Jeden, jak wspominałem był już na studiach, a drugi w gimnazjum, no więc miała znowu jakiegoś młodego chłopaka, więc może była zadowolona. Opiekowała się mną też moja babcia. Dziadziu chodził ze mną na spacer. Tak że w sumie nie było najgorzej. Może przy okazji jeszcze taka dygresja, przy okazji opowiadania o wujku Janku, żeby tak nie było stale smutno, tylko coś na wesoło. Wujek Janek szukał panny, i znalazł – wśród pań Kirskich. Bardzo ładna Jadzia Kirska. Ale do tej samej panny, uderzał nie kto inny, tylko Franciszek Żwirko. I tak wspólnie spędzali czas – Żwirko, Jan Korpala i Ta Jadzia Kirska, która dla towarzystwa brała ze sobą zawsze siostrę, Klarę Kirską. Ta ciocia Klarcia, była od urodzenia trochę nieszczęśliwa, była garbata. No i w końcu jak Jadzia Kirska wybrała Żwirkę za męża, no to mojemu wujkowi nic nie pozostawało, jak tylko ożenić się z jej siostrą. Ale byli naprawdę szczęśliwym małżeństwem. Miała wspaniałych synów, starszy syn, jak bym pokazał zdjęcie, to jest kropka w kropkę mój ojciec, **[śmieje się]** uważany za przystojnego młodzieńca. **[ogląda się za siebie gdzie wiszą zdjęcia]** Tutaj go widać. I może tyle o tym pobycie w Radomiu. **(50:40)**

Do piątej klasy mama zapisała mnie do takiego Kolegium św. Olafa przy zakonie sióstr Urszulanek w Pniewach. To pamiętam już doskonale, jak mnie tam zawiozła, do Pniew, i tam mnie zostawiła pod opieką jakiejś siostry. Jeszcze mi pozwolono odprowadzić mamę na dworzec, więc odprowadziłem mamę na dworzec w Pniewach i mama sobie pojechała, a ja zostałem sam. I tak chodziłem po tym mieście, tak się rozglądałem, i w końcu wróciłem do tego kolegium. To było takie kolegium opiekuńcze dla sierot i półsierot. I tam trafiłem akurat na kolację. I do dzisiaj **[mówi śmiejąc się]** pamiętam tamtą kolację. Co tam było, jak to wyglądało, co tam było do jedzenia. To było dla mnie ogromne przeżycie. I tam, w tych Pniewach, spędziłem dwa lata. To było jedyne miejsce, gdzie chodziłem dwa lata do jednej szkoły. I tam skończyłem szóstą klasę. Mam miłe wspomnienia z Pniew. Np bardzo dobrze wspominam nauczyciela matematyki w Pniewach, pana Bogusławskiego, który... nauczył mnie matematyki. Dzięki niemu, matematyka stała się dla mnie taką podstawową, że tak powiem nauką, z którą nigdy potem nie miałem już kłopotu. A do tej szóstej klasy, szło mi

bardzo kulawo. [kręci głową] No i przyszedł rok 50-ty, jak wyjechałem z Pniew po raz ostatni i zamieszkałem już w Jeleniej Górze razem z mamą. (52:57)

PB: A proszę powiedzieć, czy w tym czasie i później, ten fakt, że państwo byliście z rodziny ofiary katyńskiej, w jakikolwiek sposób wam utrudniał życie, czy powodował jakieś problemy w sprawach urzędowych, czy innych?

DK: Prawdopodobnie utrudniał życie mojej mamie, bo ja nie mogłem narzekać. Faktem jest jednak, że po skończeniu siódmej klasy w Jeleniej Górze, zdałem egzamin do gimnazjum, i została wywieszona lista i na niej byli tacy, co nie zdali i tacy co zdali. I ja byłem jedyny, który zdał i nie został przyjęty. No było dochodzenie robione, i okazało się, że był ktoś z aparatu partyjnego pamiętający te czasy, kiedy ja chodziłem do 3 klasy. I wyraził swoją dezaprobatę, że taki człowiek jak ja nie może być przyjęty do gimnazjum. No i nie zostałem przyjęty do gimnazjum. Ale jeżeli o mnie chodzi, to ja jestem z tego powodu bardzo zadowolony, bo dostałem się do gimnazjum w Karpaczu, w pięknej miejscowości, gdzie naprawdę było cudownie przez ten rok. Ja się tam zresztą dobrze uczyłem, i nawet na koniec roku zostałem wywieszony na tablo jako przodownik nauki. A zimą Karpacz był idealny, bo to była strefa przygraniczna. Nie wszyscy to pamiętają, ale to były takie czasy, że wjechać do Karpacza nie można było. Był szlaban przed miastem, i trzeba było mieć specjalną przepustkę, żeby tam wjechać. A ponieważ ja tam chodziłem do szkoły, to mogłem się tam poruszać bezproblemowo. I ponieważ nie było tam żadnego ruchu samochodowego, to zimą, po tej szosie karpackiej, można było zjeżdżać na bobslejach, na bobach zjeżdżałem, od Szczęść Boże aż do samego szlabanu. Tak że piękne czasy, mam jeszcze zresztą kolegów z tamtego czasu i się z nimi przyjaźnię. (55:40)

PB: Czy poza tym incydentem z rekrutacją, gdzie pan miał kłopoty, spotkało potem pana coś podobnego?

DK: Nigdy nic podobnego już mnie nie spotkało.

PB: A mama? Miała jakieś problemy?

DK: Nie, nie... Bo mama pracowała już potem w tych zakładach papierniczych, a w roku 50' wyszła ponownie za mąż za doktora Kędzierskiego – doktora praw. I pracowała w notariacie. On prowadził notariat, i mama mu pomagała w notariacie. Tak że nie miała z tym żadnych kłopotów.

PB: To proszę jeszcze teraz pokrótce opowiedzieć co było z panem. Jak przebiegała pana droga zawodowa?

DK: Może tak rzeczywiście zrobimy, bo ta sprawa mojego ojca jest taka dosyć oczywista.

PB: Musimy opowiedzieć, co się z panem działo, by potem dojść do momentu, kiedy można było oficjalnie już do tych spraw związanych z ojcem wrócić.

DK: Po ukończeniu gimnazjum i po zdaniu matury w roku 55', dostałem się na studia we Wrocławiu. Dostałem się bez problemu na wydział elektryczny. Ale moim marzeniem był wydział lotniczy [mówi śmiejąc się] w Warszawie. I złożyłem od razu papiery na wydział lotniczy do Warszawy. I zostałem przyjęty.

PB: A skąd ta fascynacja lotnictwem?

DK: Od dzieciństwa. Jak bym pokazał moje książki z okresu szkolnego, to wszędzie było napisane – Korpala lotnik. [śmieje się] W każdym razie mama się nie zgodziła. Dostyc stanowczo. Że za daleko ta Warszawa, że we Wrocławiu, to będzie mogła mnie odwiedzać. I że wydział elektryczny jest tak samo ważny jak wydział lotniczy. I w końcu mnie przekonała. Zwłaszcza, że na ten wydział elektryczny dostali się moi koledzy z gimnazjum, więc dałem się przekonać. Potem pięć lat studiów, a po studiach podjąłem pracę w Jeleniej Górze, w zakładzie energetycznym. (58:26)

PB: Na jakim stanowisku? W jakiej roli, w jakim charakterze?

DK: Podjąłem pracę już jako magister inżynier, i akurat trafiłem na czas, kiedy była tworzona nowa instytucja, nazywała się Państwowy Inspektorat Gospodarki Paliwowo – Energetycznej. Tzw PIGPE w skrócie. I – ponieważ to było tworzone na bazie Zakładów Energetycznych, to mnie od razu skierowano do pracy w tej instytucji. To była praca inspekcyjna. Po prostu, inżynier jechał do fabryki i kontrolował gospodarkę energetyczną. W szerokim pojęciu. Ponieważ ja kończyłem Wydział Energetyczny, Gospodarkę Ciepłą, Elektrownie konkretnie, to nadawałem się bardzo dobrze do tej instytucji, ponieważ i sprawy ciepłe były mi bliskie, i sprawy elektryczne były mi bliskie. I w związku z tym, jak podjąłem pracę w Jeleniej Górze, to jeździłem w teren i ten teren jeleniogórski akurat obejmował wówczas takie miejscowości jak – Żary i Żagań, w zielonogórskim. Więc z tamtego terenu, jeździłem tutaj. To taka dygresja, pozwalał sobie na taką dygresję. I tam mnie już poznali, że przyjeżdża taki inspektor z Jeleniej Góry i zna już miejscowe sprawy, i po prostu mieliśmy już kontakt z tymi głównymi energetykami różnych zakładów w Żarach i w Żaganiu. (60:39)

W grudniu zdawałem egzamin dyplomowy, w styczniu 61' już podjąłem pracę w Jeleniej Górze. Ponieważ była to instytucja ogólnopolska, to mieliśmy tzw kursokonferencje. I tam zjeżdżali się wszyscy z różnych ośrodków. Ja należałem do ośrodka wrocławskiego, z oddziałem w Jeleniej Górze. Ale był jeszcze ośrodek warszawski, ośrodek poznański, i ośrodek katowicki. I na tych wspólnych spotkaniach, bardzo polubiłem kolegów z Poznania. [śmieje się] A oni jak się dowiedzieli, że moja żona studiuje w Poznaniu, to mówią:

- Ty pracujesz w Jeleniej Górze, a żona w Poznaniu studiuje? To przecież nie może tak być. Ściągamy cię do Poznania!

Ja mówię – Aaaa..tam.. Ja nie chcę do Poznania. Ale okazało się, że oni to wzięli na poważnie i u tutejszego dyrektora PIGPE załatwili przeniesienie okresowe [mówi akcentując mimiką słowo] dla mnie, bym mógł być razem z żoną. I dostaję pismo w Jeleniej

Górze, że dyrektor poznański wyraża zgodę, żebym ja tutaj pracował. No to już nie miałem wyjścia. [mówi z uśmiechem] I w ten sposób znalazłem się w 62' roku tutaj w Poznaniu. (62:26)

PB: A proszę mi powiedzieć, bo tak naprawdę pierwszym takim momentem kiedy o Katyniu można było cokolwiek powiedzieć, kiedy były próby upamiętnienia tej historii w prawdziwej formie, to były czasy pierwszej Solidarności – 80-81'. Nawet w Poznaniu była wystawa na dworcu Głównym poświęcona Katyniowi. Czy pan coś pamięta z tego czasu? Jakies podobne inicjatywy? Ewentualnie czy pan się w takie rzeczy angażował wtedy?

DK: To był okres właśnie Solidarności, a w tym okresie, w naszym inspektoracie, mimo że to był urząd, też została założona Solidarność i prawie wszyscy wstąpili. Ja zostałem wiceprzewodniczącym tej Solidarności zakładowej. I myśmy swoje wiedzieli. Ale oficjalna wersja [kręci głową] była przecież inna. Tu mam tę broszurę, o której wspominałem [sięga do papierów na stole] swego czasu. [bierze do ręki broszurę, przykłada lupę do oka, czyta] I to jest broszura wydana w marcu 81' roku, przez Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego, Zarząd Propagandy i Agitacji. I tytuł jest taki – „Informacja nr 33/81. Zbrodnia katyńska w świetle faktów i dokumentów.” I tutaj pięknie jest opisana sprawa, jak to właśnie imperialiści i wrogowie [czyta ze śmiechem] ludu, propagują prawdę taką, że to zrobili Rosjanie, a to jest nieprawda. Prawdą jest to, że zrobili to Niemcy. I to jest udokumentowane. Odpowiedni eksperci dokumentują, że mord nastąpił w 41' roku. (64:26)

I ja mam taką ciekawostkę, mam solidarnościową Matkę Boską Katyńską, [pokazuje grafikę z podpisem] gdzie wypisany jest – Katyń 41'. Czyli jak gdyby Solidarność przyjęła tę narrację.

PB: A może to jest fałszywka?

DK: No nie, to nie jest fałszywka. [podaje grafikę do obejrzenia] Po prostu w Solidarności były różne grupy. Poza tym Solidarność była również w Komitecie wojewódzkim PZPR w Poznaniu. I dla jednych prawda była taka, a dla drugich prawda była taka. I tutaj zrobię taką bolesną dygresję, że tak jest do tej pory. Czasy się zupełnie zmieniły, a dla jednych jeszcze do tej pory żołnierze wyklęci są rzeczywiście wyklęci, a dla innych to są bohaterowie. I ten podział był już bardzo wcześniej, on istnieje i na to nie ma rady.

PB: A ta broszura wojskowa, którą pan pokazywał, jak pan ją zdobył?

DK: To z Komitetu Wojewódzkiego.

PB: Ktoś tam pracujący panu to przekazał?

DK: Tak.

PB: Wtedy, w 80-tych latach, tak?

DK: Tak.

PB: Ale jak pan był w Solidarności, to czy Solidarność myślała o tym, żeby w jakiś sposób upamiętnić oficjalnie sprawę pomordowanych oficerów, czy nie było jeszcze klimatu?

DK: Stan wojenny zamknął buzie wszystkim. I jeżeli nawet były jakieś głosy, to po stanie wojennym nikt się już nie odważył. Jak wiemy, pierwsze Stowarzyszenie Katyń zostało założone w Koninie. I co ciekawe, zostało założone w marcu 89' roku, czyli jeszcze za czasów PRL-u. I w związku z tym zaczęły wtedy przeciekać informacje. I tam do Konina, zgłaszało się bardzo dużo osób, z prośbą o deklarację wstąpienia do Stowarzyszenia. No i także my. **[uśmiecha się]** Tak że jakby impulsem, było właśnie to działanie Stowarzyszenie w Koninie, gdzie pierwszym prezesem został pan Antoni Majorowicz. **(67:38)**

PB: To były czasy, kiedy Związek Radziecki zaczął się oficjalnie przyznawać do tego co się stało.

DK: To już później.

PB: Ale jeszcze Gorbaczow przyznał się, że to ich sprawka, prawda?

DK: Tak. Ale to dopiero rok 90' przyniósł.

PB: A pan zaangażował się najpierw w to konińskie Stowarzyszenie?

DK: Nie, ale to był impuls. I w prasie poznańskiej, ale nie pamiętam, czy to był Głos Wielkopolski, czy Gazeta Poznańska, w każdym razie znalazła się taka notka, co jest bardzo istotne, że Poznański Instytut Historyczny im. Franciszka Witaszka, organizuje spotkanie dla rodzin katyńskich. Było podane, że to będzie na osiedlu Kopernika. Przeczytałem to, i oczywiście już musiałem tam być. **[rozkłada ręce]** Była nas garstka, może kilkanaście osób, 12 albo 13 się zebrało. Ale to był początek. Tam żeśmy podjęli temat. Inicjatorem był ówczesny prezes tego Poznańskiego Klubu Historycznego im. Franciszka Witaszka, który nazywał się Jerzy Marcickiewicz. **[fonet69:16]** On był mocno zaangażowany w wyjaśnianie spraw sowietyzacji, działaniach Sowietów itd. To było jego dzieło i to on pomyślał o tym Katyniu i zainicjował. I postanowiliśmy stworzyć tam sekcję przy tym Klubie, i tak się zaczęła ta nasza działalność. **(69:43)**

PB: A to spotkanie się odbyło na parafii?

DK: Nie, nie, nie.. w klubie.. tam jest chyba Dom Kultury jakiś..

PB: W Domu Kultury na Grunwaldzie?

DK: Tak, w Domu Kultury, już zupełnie oficjalnie się to odbyło.

PB: A jak to się stało, że Pan stanął na czele Stowarzyszenia?

DK: No chociażby dlatego, że byłem już na tym pierwszym spotkaniu. Widać było, że wykazuję jakąś inicjatywę. I to było dla mnie rzeczywiście bardzo ważne.

PB: Były wybory prawda?

DK: Najpierw była taka samoorganizacja, nie było jeszcze wyborów. Ponieważ znałem wtedy osobiście suspensora ojców Jezuitów na Szewskiej, to żeby nie obciążać już tego Domu Kultury, to załatwiłem pomieszczenia u Ojców Jezuitów, gdzie mogliśmy się spotykać. I tam się odbyło to zebranie inicjacyjne.

PB: Pamięta pan kiedy to było?

DK: To było jeszcze w 89' roku, jesienią. I tam wybrano mnie na przewodniczącego, prezesa Stowarzyszenia Katyń. Jak już to zostało ustalone, to wtedy zaczęliśmy opracowywać statut i załatwiać rejestrację w Sądzie Wojewódzkim w Poznaniu. Naszych zadań było dużo więcej, wtedy był po prostu zapal [uśmiecha się] w tym 89', 90' i 91' roku. W tym 91 roku już mieliśmy pierwsze sukcesy naszego działania, bo w kwietniu był już postawiony ten ołtarz ofiarny na Junikowie i jednocześnie poświęcony kamień węgielny pod przyszły pomnik katyński na skwerze za Zamkiem. (72:00)

Tak że wtedy był ten zapal, który nas prowadził. Pamiętam także dodatkowe rzeczy, jak choćby te rozprowadzane przez nas cegielki. Ludzie kupowali cegielki, a pieniądze szły na budowę pomnika.

PB: Z lokalizacją pomnika były problemy, prawda?

DK: Były problemy z lokalizacją, to był rok 90', gdzie mieliśmy kontakt z panią Rotnicką, bardzo przychylnie nastawioną do nas, ale ona sama nie mogła zdecydować.

PB: Ona była przewodniczącą Rady Miasta wtedy, prawda?

DK: Tak, chyba tak, natomiast prezydentem był ktoś inny i ten ktoś [PB podpowiada: **Szczesny Kaczmarek**] nie wykazywał specjalnie empatii do tych naszych działań.

PB: Ale czy to chodziło o miejsce, czy chodziło o działania?

DK: O miejsce.

PB: A proponował inne pan prezydent?

FK: No właśnie, tak nie bardzo. Po prostu go ta sprawa nie interesowała za bardzo.

PB: A może była to kwestia tego, że trochę obawiał się podnosić tę kwestię? Jeszcze byli Rosjanie w Polsce przecież. Oni się w 93' ostatecznie wyprowadzili.

DK: Możliwe, to jest całkiem prawdopodobne, czymś się tam kierował...

PB: A kto wpadł na ten pomysł? Konkretnie kto zaproponował Ogród Różany za Zamkiem?

DK: Trudno powiedzieć.

PB: To nie była pana inicjatywa?

DK: Myśmy mieli spotkania, między innymi u pani Fęglerskiej żeśmy się spotykali. Przychodził pan Jerzy Zerba m.in. i myśmy dyskutowali. I w czasie dyskusji taki pomysł wypłynął.

PB: Ale to się długo przeciągało, państwo zbieraliście te pieniążki... i pewnie pojawiało się jakieś rozdrażnienie, czy rozgoryczenie, bo wiem, że były też kłopoty finansowe i pojawił się pomysł, by robić to razem z Sybirakami.

DK: Tak. Tak, tak, tak...No bo koniecznie jeszcze trzeba wspomnieć, że równoległe do tej sekcji Katyń przy Poznańskim Klubie Historycznym, im. dr. Witaszka, powstała Rodzina Katyńska przy Klubie Inteligencji Katolickiej. I oczywiście ja byłem i tu i tu, bo każdą okazję wykorzystywałem, żeby być, żeby po prostu coś robić. No i tam, w tej Rodzinie Katyńskiej, zaangażował się pan Rumiewicz [fonet75:12] razem z Sybirakami w sprawę postawienia Ołtarza Ofiarnego na cmentarzu junikowskim. (75:22)

PB: I on stanął pierwszy, tak? I stoi zresztą do dzisiaj.

DK: To było dzień za dniem, niesamowita sprawa. [śmieje się]

PB: Tu nie było żadnego oporu ze strony władz?

DK: Nie.

PB: A sam moment odsłonięcia pomnika, 99' rok, prawda? Pamięta pan ten dzień?

DK: Pamiętam, oczywiście.

PB: Jak by pan się mógł wrażeniem podzielić jak to przebiegło, co pan z tego zapamiętał?

DK: No to już były obchody bardzo uroczyste i już mieliśmy sztandar przede wszystkim. Bo to było też nasze marzenie, żeby mieć sztandar Stowarzyszenia Katyń, żeby we wszystkich uroczystościach, ten poczet sztandarowy mógł wystąpić. I – nie wiem, czy to jest powszechnie znane, ale fundatorem tego sztandaru był znany tenisista poznański, Wojciech Fibak.

PB: To ciekawa informacja. I ten sztandar wziął już udział w odsłonięciu pomnika, tak?

DK: Tak.

PB: Mówił pan, że to były uroczyste obchody, podniosłe, tak?

DK: Właśnie. Ale wiele więcej już nie mogę powiedzieć, bo ja już nie byłem prezesem Stowarzyszenia i już się tę organizację nie angażowałem za bardzo, bo jak przyszedł ten rok 91', gdzie jeszcze u Jezuitów na Szewskiej...[szuka wzrokiem wśród papierów na stole] ..o tu jest pismo nasze..[wyciąga kartkę A4] pozwolę sobie to wziąć. [przykłada lupę do oka] Tak, to jest nasze pismo z 19.03.91 roku. Właśnie ta uroczystość katyńska i było zawiadomienie o zebraniu sprawozdawczo – wyborczym, które się odbyło 14 czerwca 91 roku, na którym to dostałem absolutorium, ale już nie wyraziłem zgody na dalszą pracę w Zarządzie. [pokazuje pismo do kamery] (77:47)

Powodów było dużo, ale takim zasadniczym był ten, że jednak w tym 91' roku mocno mnie angażowała praca. A tu był potrzebny ktoś, kto miałby więcej czasu na działania, kto byłby

bardziej swobodny. Ja jeszcze podjąłem się takich dodatkowych prac w owym czasie, tak że miałem też zajęte popołudnia. To nie był najważniejszy, ale był jeden z istotnych powodów.

PB: To jeszcze króciutko o pana wizytach w Katyniu. Bo pan był w Katyniu?

DK: Tak, byłem w Katyniu w 90' roku.

PB: Jak pan to przeżył?

DK: No to było niesamowite przeżycie. Z tego tytułu, że to nie wyglądało wówczas tak jak teraz. To wtedy rzeczywiście były doły śmierci przysypane. Znaleźliśmy się na terenie tego lasu katyńskiego i wiem, że wtedy odszedłem w ogóle od grupy i poszedłem sobie sam na spacer. Oczywiście jeszcze grozili [kiwa palcem wskazującym] że to nie jest takie bezpieczne. Że nie wolno. Ale ja sobie poszedłem. W tym lesie świerkowym w Katyniu, tak rozpamiętywałem sobie ten moment śmierci mojego ojca. Że musiał być świadomy, że idzie na śmierć. No bo niemożliwe, by był tak naiwny, że go pojedynczo wyprowadzają gdzieś tam nie wiadomo dokąd. I starałem się w to wczuć. I wówczas, schylając się w tym lasu katyńskim, wziąłem sobie z ziemi świeżo wykopane małe świerczki i zasadziłem przed swoim domem tutaj. I one pięknie wyrosły. (79:59)

PB: Przyjęły się?

DK: Tak, przyjęły się, wszystkie trzy. I teraz mają już prawie 30 lat.

PB: To musimy je pokazać. One są tutaj na terenie posesji?

DK: [kiwa głową] Przed domem. Taka pamiątka po tej wizycie w Katyniu.

PB: A był pan potem powtórnie, jak już powstał cmentarz wojenny? Był pan tam już po uporządkowaniu terenu?

DK: Nie, właśnie nie byłem. Drugi raz już nie byłem.

PB: Tabliczki ojca pan nie widział?

DK: Znaczą zdjęcie, bo tutaj nieoceniony był pan Dewojna [fonet80:35] na pewno słyszał pan o nim doskonale. On stworzył coś, co jest bardzo wartościowe. To znaczą tę przyjaźń między młodzieżą polską, a młodzieżą rosyjską. I ta instytucja stworzona przez niego, mam nadzieję, że będzie działała dalej, bo to jest rzecz ważna.

PB: Dziękuję. Tu robimy cięcie. Bardzo fajna puenta na koniec.

[następuje filmowanie dokumentów, zdjęć i pamiątek, a także 3 choinek z Katynia]

Koniec nagrania – całość – 86 min